



HENRYK SIENKIEWICZ

Płomyk


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

HENRYK SIENKIEWICZ

Płomyk

Gdy po wykopaniu ziemniaków wypłacono w końcu strudzonym najmitom należność za cały czas robót polnych, pobrali wszyscy na plecy przygotowane już poprzednio węzélki i ruszyli pod wieczór do najbliższej stacji kolejowej. Przyzostał¹ tylko Wojciech Lipiecki, chłop spod Kościana, który przypadkiem przyłączył się wraz z kilku innymi do obieżysasów² z Królestwa³

¹*pryzostać* (daw., gw.) — pozostać, zostać na jakiś czas. [przypis edytorski]

²*obieżysas* (daw.) — wędrowny robotnik najemny; nazwa pochodzi od obchodzenia Saksonii, która była kiedyś najczęstszym celem wyjazdów zarobkowych (por. wyrażenie *na Saksy*). [przypis edytorski]

³*Królestwo* — tu: Królestwo Polskie a. Królestwo Kongresowe, pot. Kongresówka (utworzone na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego). Tereny daw. Polski pozostające pod zaborem rosyjskim w latach 1815–1918. Królem tego organizmu państwowego był car Rosji. Początkowo Królestwo miało odrębną konstytucję, sejm, walutę i wojsko, ale utraciło je w ramach represji po powstaniu

i razem z nimi pracował. Przyszostał on dlatego, że się w dzień podźwigał worem ziemniaków i czuł się jakiś słaby, a po wtóre i z tej jeszcze przyczyny, że chciał wstąpić do baraku, w którym ludzie przez cały czas koczowali, i zabrać stamtąd obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i ołowianą lampkę. Sam je był zawiesił, jako chłop pobożny, w kącie nad swoim tapczanem, i oczywiście szkoda mu było świętych rzeczy, a to tym bardziej że Niemcy-lutrzy⁴ nie umieliby ich uszanować. Więc w tym zamiarze, po otrzymaniu zapłaty w kancelarii, powlókł się do baraku, wzniesionego na skraju przestronnego pola pod lasem, układając sobie w myśli po drodze, że się prześpi, wypocznie, a jutro skończy pakowanie i pociągnie za innymi.

Ale szło mu się jakoś dziwnie niesporo — i czuł, że ma nogi jak słomiane, że krzyże go

listopadowym; zaborcy zaczęli też używać wtedy nazwy Kraj Nadwiślański. [przypis edytorski]

⁴*Niemcy-lutrzy* — luteranie, jak i wszyscy protestanci, szanują matkę Jezusa i chcą naśladować świętych, ale odrzucają kult świętych i Matki Boskiej, charakterystyczny dla katolicyzmu. [przypis edytorski]

bolą i że w piersiach ma jakby gwoździe, które kłują go przy każdym poruszeniu. Robiło mu się to gorąco, to zimno. Przed samym barakiem rozebrało już chłopca do szczętu. Tyle tylko że wszedł, ledwo-ledwo zapalił lampkę przed obrazem i zaraz gruchnął się jak długi na tapczan. Masz-że teraz! Dopieroż zląkł się, bo zrozumiał, że przyszła na niego ciężka choroba. I to tak nagle, i z taką siłą, jak latem przychodzi burza.

Od razu stracił moc w kościach. Chciał się przeżegnać i z trudem wielkim podniósł rękę do czoła, następnie zawłókł ją na piersi, ale do lewego ramienia ani rusz! I leżał tak czas jakiś, bezwładny jak pień. Jednakże, ponieważ przytomność nie opuściła go jeszcze, więc naprzód zdjęła go ogromna tęsknota i żal, że ludzie już odeszli i że został tak sam jak Łazarz⁵ na obczyźnie. Bo oto Bóg raczy wiedzieć, kiedy tu kto zajrzy teraz do tego baraku, a przez ten

⁵Łazarz — postać biblijna, przyjaciel Jezusa Chrystusa, przez którego został wskrzeszony z martwych. Jako św. Łazarz z Betanii był patronem żebraków i trędowatych, stąd też powiedzenia wiążące jego osobę z nędzą i opuszczeniem. [przypis edytorski]

czas nikt mu i dzbanka z wodą nie poda. Co tu zaś przecie bywało zawsze gwaru pod wieczór — i ludzkich głosów, i rozmów, i narzekañ, i sporów, i śmiechu, i śpiewania! A teraz cicho. Myszy jeno, które jesienią chronią się z pól przed chłodami do zabudowań, chrobocą wszędy i gryzą zawzięcie drzewo, a blisko wygasłego ogniska, w kupie grochowin, świerkają świerszcze polne. Spojrzy Lipiecki po tapczanach stojących pod ścianami jakby w nadziei, że może kto zasnął i został; spojrzy na drzwi, że może kto czego zapomniał i wróci, ale nie widać i nie słyhać nic. Barak tylko wydaje mu się tak ogromny jak nigdy i w głębi całkiem zapełniony mrokiem, bo tylko ta jedna lampka przed obrazem go oświeca. Chłopu robi się jakoś dziwnie nieswojo i po prostu straszno. Żeby choć jedna ludzka dusza przy nim — żeby choć jedno polskie słowo ozwało się za ścianą — żeby choć jedno! Nic i nic! A niechże to Bóg broni chorować w takiej pustce — zaś jeszcze bardziej umierać bez księdza, spowiedzi i sakramentów! Przyszło mu na myśl, że gdyby

tak umarł, to Prusaki pogrzebałyby go na luterskim cmentarzu, a może nawet zakopałyby go gdzie w polu pod borem jak zdechłe bydlę albo psa.

Brońże od tego, Matko jedyna, i ty, święta Barbaro, patronko dobrej śmierci! Lipieckiemu z niemocy, żalości i utrapienia wezbrały łzy w oczach. Podniósł wzrok ku płomykowi, który świecił pod obrazkiem, i jął mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko” — a modlił się ogromnie gorliwie, bo to jedno dobrze rozumiał, że jeżeli Ona go nie wspomocze, to będzie z nim źle. Ale już podczas modlitwy poczęło mu się tak mieszać w głowie, że nie mógł jej dokończyć. Pierwej brały go ciągoty i dreszcze, a teraz chwyciła go gorątkowa taka, jakby mu kto rozpalonych węgli do głowy i do piersi nasypał. I widać, że coraz z nim było gorzej i coraz więcej tracił rozeznanie, gdyż nagle wydało mu się, że tapczany zaczęły chodzić jeden za drugim po izbie jak gęsi — i że z krokwi baraku zwiesiły się jakieś długie, do ziemi sięgające powrósła, oblepio-

ne rojami czarnych wielkich much. Przymknął oczy, żeby tego nie widzieć, gdyż było w tym coś tak wstrętnego, że aż skóra na nim ścierpła. Tyle zachował jednak jeszcze przytomności, że powiedział sobie, iż mu się to tylko tak przewiduje i że tego naprawdę nie ma. Jakoż gdy otworzył znów oczy, tapczany stały po dawnemu pod ścianami, żadne czarne powrósła nie zwieszały się z pułapu i płomyk lampki palił się nad nim spokojnie. Czuł się natomiast okrutnie chory i aż mu dziwno było, że to idzie tak prędko. Dość długo leżał bez ruchu, tylko wargi mu się trzęsły, bo od czasu do czasu brały go dreszcze. Potem jednak oblała go nowa fala żaru i powtórnie pomieszały mu się myśli. A że to w gorączce, tak jak w jasełkach, widzi się coraz to inne rzeczy, czasem straszne, a czasem miłe, więc przyszło na niego teraz widzenie błogie.

Takie zaś było wrażenie, że już nie starczyło Lipieckiemu rozeznania, żeby sobie powiedzieć, że to jest złuda, ale był pewien, że Matka Boska naprawdę cud uczyniła i kazała go przenieść aniołom w mig do Kościana. Idzie

oto szerokim lipowym gościńcem od miasta ku swej sadybie... Jest jesień i pogoda cudna. Liście, jedne czerwone jak płomień, drugie żółte, spływają cicho z drzew na ziemię, bo nie ma żadnego wiatru. Na dachach domów złoci się słońce. Lipieckiemu czyni się jakoś rzewliwie na duszy i radość zalewa mu serce. Pamięta, że był chory, ale teraz czuje się zdrów i wraca do dom. Widać już jego chałupinę za wiśniowym sadkiem na prawo ode drogi. Tymczasem przechodzi wedle stawu, po którym mimo jesiennego chłodu bobrują z sieciami chłopaki, a na brzegu stoi starowina proboszcz i pilnuje połowu. Przychodzi do niego chłop, całuje go w rękę, a ksiądz, spojrzawszy mu na twarz, mówi: — Bójcie się Boga, Lipiecki, a wyście się gdzie tak wymizerowali?

— Dobrodzieju — odpowiada — choróbko opadło mnie na Saksach, alem z pomocą bożą wyzdrowiał.

A na to ksiądz:

— Oj! — powiada — podziękujcie Matce Boskiej, bo śmierć na obczyźnie to zastrata nie tylko dla ciała, ale często i dla duszy.

— Prawda, prawda, prawda!

Tu wśród widzeń zasnął na dobre. Ale w godzinę albo i w dwie później drgnął nagle i zbudził się. Wydało mu się teraz, że przytomność całkiem mu wróciła. Tylko czoło miał zlane zimnym potem i poczęły mu ziębnąć ręce, nogi i nos. Ogarnęło go niewypowiedziane osłabienie. Usłyszał jakby dalekie dzwony, choć nawet myszy przestały chrobotać i była cisza zupełna. Pomyślał wtedy, że zaczyna konać.

Jeszcze raz chciał się przeżegnać — i nie mógł. Dalekie dzwony jęczały żałośniej i żałośniej. Lipiecki patrzył, leżąc na wznak, osłupiałymi oczyma w mrok, który w głębi izby gęstniał, czynił się coraz ciemniejszy i zdawał się toczyć jak chmura ode drzwi ku środkowi izby.

Jednak po chwili nieruchome już prawie źrenice chłopca rozszerzyły się z trwogi i twarz pobladła mu jak płótno, albowiem w baraku

poczęło się dziać coś nadzwyczajnego i złowro-
giego zarazem.

Oto ów mrok począł zaczynać się w sobie, skupiać i tworzyć jakowąś postać: zaokrąglił się z wierzchu niby w potworny łeb, rozszerzył się niżej w ogromny tułów, a od tego tułowia wyciągnęły się dwie długie, ciemne smugi jak ręce.

Lipieckiemu włosy stanęły dębem na głowie, a zęby poczęły szczekać, albowiem obaczył teraz wyraźnie, że z całego tego mroku, który zalegał głąb baraku, zrobił się czarny, straszny wielkolud — i że wielkolud ten idzie ku niemu.

Jakieś niepojęte, martwe przerażenie nappełniło powietrze. Powiało mrozem jak od kupy lodu.

A potwór zbliżał się, ale posuwał się tak wolno, jak posuwają się ślepi. Jakoż istotnie w jego ohydny łbie nie było wcale oczu — i tylko ręce wyciągał coraz dalej przed siebie, macając jednostajnym, okropnym ruchem po

tapczanach, jakby szukał, gdzie jest ta żywa ludzka dusza, po którą przyszedł.

— Jezusie, Maryjo!... — krzyknął Lipiecki. — Śmierć! śmierć!

I w tej chwili jeszcze jedna, jasna jak błyskawica, myśl rozświeciła mu krzepnący mózg, że to nie polska śmierć przy jasnym ognisku domowym, przy splakanych twarzach, przy gromnicy i litanii, ale obca, czarna i lodowata pruska śmierć, która dławi człowieka tak niemiłosiernie jak kat i która jest zgubą bez nadziei i nocą bez światła, otchłanią bez Boga.

Więc w ostatniej toni i rozpaczycy zwrócił jeszcze spojrzenie ku obrazowi i począł wołać gasnącym już i przerywanym przez śmiertelną czkawkę głosem:

— Panienko Najświętsza!!...

— Ratuj!...

— O rety!...

— Ratuj!...

Czarne, straszne ręce szukały już na najbliższym tapczanie.

Ale wówczas stało się coś takiego, czego żadne ludzkie słowa dobrze nie wypowiedzą.

Płomyk od lampki przed obrazkiem oderwał się nagle i począł płynąć jak złota pszczoła przez powietrze ku potworowi.

Lecz rósł z każdą chwilą; w jednym mgnieniu oka z płomyka stał się płomieniem, rozpałił się, rozżarzył, zbielał. Z boków strzeliły mu skrzydła, nad skrzydłami podniosła się głowa jakby w koronie i zmieniony w Białopiórego Ptaka rzucił się błyskawicą na straszego Czarnoboga. I ujrzał Lipiecki ogromną bitwę światła z ciemnością.

Zmora skręciła się niby wąż, w którym utkwiło żeleźce. W mrocznym cielsku zasyczało coś jak rozpalona stal w wodzie, rozległo się chrapanie i charczenie. Już Ciemność wije się, rozdziera, a Orzeł razi ją, zatracą, niszczy, wypala. Zwalił się wreszcie czarny kadłub, runął łeb, rozkruszyły się plugawe ramiona, po czym opało wszystko i rozwiało się prochem marnym.

Cały barak zalało światło tak jasne, jak słoneczne.

A gdy Srebrzysty Ptak zmienił się na powrót w płomyk i przyleciał znów złotą pszczołką przed obraz, Lipiecki spał już głębokim snem i w ciszy, jaka zalegała barak, słychać było tylko jego spokojny, równy oddech.

W kilka dni później wrócił chłop w dobrym zdrowiu do rodzinnej wioski i przez całą potem zimę — i w mieście, i po chałupach — rozpowiadał, co mu się owej nocy przygodziło. Więc niektórzy dziwili się wielkim dziwem, inni zaś myśleli, że to wszystko widział w gorączce albo we śnie. Jednakże proboszcz starowina wierzył głęboko, że to był cud prawdziwy. Pewnej niedzieli powiedział nawet ludziom w kościele z ambony, że płomyk sprzed oblicza Bogarodzicielki potrafi się na Jej rozkaz w orła przemienić i że może nieraz jeszcze obroni chłopca polskiego przed niejednym Czarnobogiem i niejedną zmorą śmiertelną.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sienkiewicz-plomyk>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, Baśnie i legendy, wybór, wstęp, przypisy Tomasz Jodelko-Burzecki, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1986.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Niedziałkowskiej. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Paulina Ołtusek.

Okładka na podstawie: Candle, Matt and Kim Rudge@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0901-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

HENRYK SIENKIEWICZ *Plomyk*
Przekaz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwiązać bi-